

Zajmowałem się właśnie starymi rysunkami jaskiniowymi, wykonanymi w polinezyjskim stylu przez północnozachodnich Indian w Kolumbii Brytyjskiej, gdy do Norwegii wtargnęli Niemcy.

– W lewo zwrot! W prawo zwrot! W tył zwrot! – Mycie schodów w koszarach, czyszczenie butów, szkoła radiotelegrafistów, spadochroniarzy i wreszcie murmański konwój do północnej Norwegii, gdzie wojenny bóg techniki panował w czasie nieobecności boga-słońca przez długą, ciemną zimę.

Nastał pokój. Pewnego dnia moja teoria była gotowa. Teraz można już jechać do Ameryki i przedłożyć ją światu.

drialnego DNA potwierdziły, iż z genetycznego punktu widzenia mieszkańcy wysp mają więcej wspólnego z Azjatami niż Amerykanami. Robert C. Suggs w książce „Mit Kon-Tiki” tak określił badania Heyerdahla – „Teoria Kon-Tiki jest równie efektowna jak opowieści o Atlantydzie i równie mało ma wspólnego z rzeczywistością naukową”.

W miarę poszukiwań w Peru natrafiłem na nieoczekiwane ślady w kulturze, mitologii i języku tubylców, które skłoniły i mnie do pogłębienia badań nad odnalezieniem miejsca pochodzenia polinezyjskiego bożka plemiennego Tiki.

I wkrótce znalazłem to, czego szukałem. Legenda Inków o królu-słońcu, Virakocha, który był najważniejszym wodzem zaginionego szczepu białych ludzi w Peru, głosiła:

„Virakocha jest to imię w języku Inków, pochodzi więc widocznie z późniejszego okresu. Prawdziwe imię tego boga-słońca, które było w Peru często używane w dawnych czasach, brzmiało Kon-Tiki albo Illa-Tiki, co znaczy Słońce-Tiki albo Ogień-Tiki. Kon-Tiki był arcykapłanem i królem-słońcem legendarnych białych ludzi, którzy pozostawili olbrzymie ruiny na brzegu jeziora Titicaca. Legenda głosi, że Kon-Tiki został napadnięty przez wodza imieniem Cari, który przybył z doliny Coquimbo. W bitwie na wyspie, na jeziorze Titicaca, rozgromiono tajemniczych, brodatych białych ludzi, lecz sam Kon-Tiki wraz z najbliższym otoczeniem ratował się ucieczką i znalazł się nad wybrzeżem Pacyfiku, skąd następnie znikł, udając się morzem na zachód”.

Nie miałem już teraz wątpliwości, że biały wódz – bóg Kon-Tiki, którego przodkowie Inków wygnali z Peru na Ocean Spokojny, był właśnie białym wodzem – bogiem Tiki, synem słońca, czczonym przez wyspiarzy polinezyjskich, założycielem ich plemienia. Szczegóły życia Słońca-Tiki w Peru, wraz z antycznymi nazwami miejscowości położonych wokół Titicaca, wypływały znowu z historycznych legend wyspiarzy. Jednakże wszędzie w Polinezji można było znaleźć przyczynki wskazujące na fakt, iż pokojowe plemię Kon-Tiki nie mogło utrzymać przez dłuższy czas panowania nad wyspami. Przyczynki te wskazywały, że indiańskie morskie łodzie wojenne, powiązane parami i nie mniejsze od okrętów Wikingów, niosły północnozachodnich Indian przez morze do Wysp Hawajskich i dalej jeszcze na południe, na wyspy Oceanii. Zmieszali oni swoją krew z plemieniem Kon-Tiki i przynieśli nową cywilizację do wyspiarskiego królestwa. Był to drugi z kolei lud epoki kamiennej, przybywający do Polinezji w 1100 roku, nieznający metali, sztuki garncarskiej, koła, wrzeciona i uprawy zbóż*.

* Teoria Heyerdahla, jakoby Polinezję zasiedliły plemiona z Ameryki Południowej, nie znalazła nigdy poparcia antropologów. Na długo przed wyprawą Kon-tiki znajdowano dowody na migrację ludów z Azji w rejon Polinezji. W późnych latach 90. testy mitochon-

ne do monolitów znajdujących się na wyspach Pitcairn, Markizach i Wyspie Wielkanocnej oraz potężne, tarasowo budowane piramidy zbliżone do tych na Tahiti i Samoa. Lud ten wyciosywał kamiennymi toporami bloki skalne wielkości wagonów kolejowych. Przeciągano je całymi kilometrami, wznoszono pionowo lub umieszczano jedne na drugich, formując portale, ogromne mury i tarasy, podobne do budowli, jakie można ujrzyć również na niektórych wyspach Oceanu Spokojnego.

W czasach kiedy pierwsi Hiszpanie dotarli do Peru, w tym górzystym kraju istniało potężne państwo Inków. Indianie opowiadali przybyszom, że olbrzymie, opuszczone, monumentalne budowle zostały wzniesione przez plemię białych bogów żyjących w kraju przed opanowaniem go przez Inków. Opisywali oni zaginionych budowniczych jako mądrych, miłujących pokój nauczycieli ludu, którzy w zamierzonych czasach przybyli z północy i nauczyli prymitywnie żyjących przodków Inków budownictwa i uprawy roli, a także rozpowszechnili różne zwyczaje. Różnili się oni od Indian białą skórą, wyższym wzrostem i długimi brodami. Opuścili Peru równie nagle, jak przybyli. Inkowie objęli władzę w kraju, a biali nauczyciele zniknęli na zawsze z wybrzeży Ameryki Południowej, oddalając się na zachód przez Ocean Spokojny.

Europejczycy, przybyli do Oceanii, spostrzegli ku swemu zdumieniu, że wielu tubylców ma prawie białą skórę i długie brody. Na niektórych wyspach całe rodziny wyróżniały się jasną cerą, rudawymi włosami, szaroniebieskimi oczami, orlimi nosami i niemal semickim wyglądem. Inni zaś Polinezyjczycy mieli złotawobrazową skórę, krucze włosy i płaskie, mięsiste nosy. Rudowłosi tubylcy zwali siebie urukehu i twierdzili, że pochodzą w prostej linii od pierwszych wodzów wysp – białych bogów Tangaroa, Kane i Tiki. Po Oceanii krążyło wiele legend o tajemniczych białych ludziach, przodkach polinezyjskich wyspiarzy. Roggeween*, który w roku 1772 odkrył Wyspę Wielkanocną, pośród tubylców na brzegu zauważył ze zdziwieniem „białych ludzi”. Mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej potrafili dokładnie wyliczyć swoich białych przodków wstecz, aż do czasów Tiki i Hotu Matua, którzy pierwsi przybyli przez morza z górzystego kraju na wschodzie, wysuszonego przez słońce.

* Jacob Roggveeen (ur. 1659) – holenderski podróżnik, który w poszukiwaniu mitycznej wówczas Terra Australis dotarł do brzegów Wyspy Wielkanocnej.

nezyjczycy mieli kult dla przodków i czcili swoich zmarłych wodzów, počawszy od Tiki, o którym mówiono, że był synem słońca.

Na każdej prawie wysepce miejscowi mędracy mogli wyliczyć z pamięci imiona wodzów, aż do czasu pierwszego ich przybycia na wyspę. Dla utrwalenia ich w pamięci używali – podobnie jak Inkowie w Peru – skomplikowanego systemu węzełków wiązanych na rozgałęzionych sznurkach. Współcześni badacze porównali drzewa genealogiczne, przedstawione pismem węzłowym, na poszczególnych wyspach i ustalili, że zachodzi zadziwiająca zgodność między nimi co do imion i liczby pokoleń. Licząc przeciętnie po dwadzieścia pięć lat na każde polinezyjskie pokolenie, można przypuszczać, że Oceania została zaludniona dopiero około roku 500 naszej ery. Nowa fala kultury, wraz z nowymi imionami wodzów, wskazuje na innych, późniejszych przybyszów, którzy zdobyli wyspy około 1100 roku.

Skąd przywędrowały te plemiona? Niewielu tylko uczonych uwzględnia decydujący fakt, że ludzie, którzy przybyli na wyspy stosunkowo późno, byli rdzennymi przedstawicielami epoki kamiennej. Mimo swej inteligencji i pod każdym względem zadziwiająco wysokiej kultury przynieśli ze sobą i rozpowszechnili na wyspach kamienne topory i inne narzędzia właściwe tej epoce.

Nie zapominajmy, że prócz pojedynczych, odosobnionych mieszkańców puszczy i pewnych prymitywnych plemion w latach 500–1100 naszej ery kulturę epoki kamiennej mogły krzewić jedynie ludy Nowego Świata, gdzie nawet przedstawiciele najwyższej stojących kultur indiańskich zupełnie nie znali zastosowania żelaza i używali kamiennych toporów i narzędzi.

Te liczne kultury indiańskie były najbliższymi sąsiadami wyspiarzy na wschodzie. Na zachodzie żyły jedynie czarnoskóre, pierwotne szczepy Australii i Melanezji, dalecy krewni Murzynów, a dalej, za Australią i Melanezją, leżała Indonezja i wybrzeże azjatyckie; epoka kamienna zakończyła się tam prawdopodobnie wcześniej niż gdziekolwiek indziej na świecie. Uwaga moja odwracała się zatem coraz bardziej od Starego Świata, kierowała się natomiast w stronę nieznanymi indiańskimi cywilizacji Ameryki Południowej, niebranych dotąd w rachubę. Nie brakło przecież śladów na najbliższym od wschodu wybrzeżu, na obszarach, gdzie od oceanu aż do gór rozpościera się teraz republika Peru. Żył tam kiedyś lud, który stworzył jedną z najciekawszych kultur świata, zanim został jakby zmieciony nagle z powierzchni ziemi przez nieznanym nam wydarzeniom. Pozostawił on po sobie olbrzymie kamienne posągi wyobrażające postaci ludzkie, podob-

wyciosane z kamienia posągi o wysokości czteropiętrowych kamienic w Europie. Ale nie wyjaśniono, kim byli ci ludzie i skąd przywędrowali.

Można stanowczo stwierdzić, że odpowiedzi na tę zagadkę było równie wiele, jak prac naukowych na ten temat. Specjaliści różnych dziedzin nauki wysuwali dziesiątki hipotez, lecz zawsze ich twierdzenia były zbijane przez logiczne argumenty znawców innej gałęzi wiedzy. Półwysep Malajski, Indie, Chiny, Japonia, Arabia, Egipt, Kaukaz, Atlantyda, a nawet Niemcy i Norwegia były po kolei uważane za przypuszczalną ojczyznę Polinezyjczyków. Lecz zawsze jakiś decydujący „haczyk” obalał każdą taką teorię.

Gdzie zaś kończyła się nauka, tam zaczynała działać fantazja. Tajemnicze monolity Wyspy Wielkanocnej i wszystkie inne zabytki kulturalne nieznanego pochodzenia znalezione na tej małej otwartej wysepce – leżącej w zupełnym odosobnieniu, w pół drogi między najbliższą wyspą Oceanii a wybrzeżem Ameryki Południowej – zachęcały do najdowolniejszych dociekań. Wielu badaczy zauważyło, że znaleziska na Wyspie Wielkanocnej pod wieloma względami przypominają zabytki przedhistorycznych cywilizacji Ameryki Południowej. Może kiedyś istniał pomost lądowy, który później został zatopiony przez ocean? A może Wyspa Wielkanocna i inne wyspy Oceanii są sterczącymi z morza resztkami zatopionego kontynentu?

Ta popularna teoria dawała wyjaśnienie laikom, lecz geologowie i inni uczeni nie mogli się nią zadowolić. Na dobitkę zoologowie dowodzili jasno na podstawie studiów nad owadami i ślimakami wysp Polinezji, że jak długo ludzkość istnieje, wyspy te były oddzielone od siebie i od okolicznych kontynentów tak właśnie, jak to jest dzisiaj.

Dlatego jesteśmy pewni, że pierwotni mieszkańcy Polinezji przybyli, dryfując lub żeglując do tych odległych wysp, dobrowolnie lub wbrew swojej chęci. Bliższe spojrzenie na mieszkańców Oceanii wskazuje, że niewiele stuleci minęło od ich przybycia. Na poszczególnych wyspach nie znajdujemy różnic językowych, mimo że Polinezyjczycy żyją rozproszeni na obszarze morskim czterokrotnie większym od Europy. Tysiące mil morskich dzielą Hawaje, położone na północnym krańcu Oceanii, od Nowej Zelandii na południowym oraz od Samoa na zachodzie i Wyspy Wielkanocnej na wschodzie. Ale wszystkie te odosobnione plemiona, zamieszkujące wyspy Oceanii mówią dialektami.

Na wyspach istniały jednak szkoły, a nauka upoetyzowanej historii, w Polinezji jednoznaczna z religią, była najważniejszym przedmiotem. Poli-

Wyraźnie zdawało mi się, że dobiegający huk przyboju potwierdza moją myśl. A później huk się zmniejszył – usypiałem.

Może w ten sposób zaczęło się to wszystko. Taki przynajmniej był początek serii wydarzeń, dzięki którym znaleźliśmy się w sześciu wraz z zieloną papugą na pokładzie tratwy dryfującej od wybrzeży Ameryki Południowej.

Pamiętam, jak przeraziłem ojca, a zdumiałem matkę i przyjaciół, kiedy po powrocie do Norwegii oddałem Muzeum Zoologicznemu Uniwersytetu w Oslo moje zbiory ryb i owadów z Fatuhivy. Chciałem wtedy porzucić studia zoologiczne i poświęcić się badaniom prymitywnych ludów. Urzekły mnie niezbadane tajemnice Oceanii. Musiały one mieć jakieś rozwiązanie. Postanowiłem więc dociec, kim był legendarny Tiki.

W następnych latach szum przyboju i posągi w dżungli stały się jakby dalekim nierealnym snem, który towarzyszył moim studiom nad ludami Oceanu Spokojnego. Badanie myśli i czynów ludów pierwotnych jedynie na podstawie książek i eksponatów muzealnych nie może być wystarczające. Dzieła naukowe, dzienniki najwcześniejszych wypraw i niezliczone zbiory muzeów w Europie i Ameryce zawierały bogaty materiał dla rozwiązania interesującej mnie łamigłówki. Od czasu odkrycia Ameryki, kiedy biali dotarli po raz pierwszy do wysp Oceanii, badacze wszystkich gałęzi nauki zebrali olbrzymie zasoby wiadomości o mieszkańcach Polinezji i przyległych regionów. Nie doszli jednak nigdy do zgody na temat pochodzenia tego odosobnionego ludu wyspiarzy ani co do przyczyny faktu, że jedno plemię zaludniło wszystkie samotne wyspy we wschodniej części Oceanu Spokojnego.

Kiedy pierwsi Europejczycy odważyli się wreszcie wyruszyć na ten największy z oceanów, odkryli ku swojemu zdumieniu w samym jego środku cały archipelag małych, górzystych wysepek i płaskich raf koralowych, oddzielonych od siebie i reszty świata olbrzymimi przestrzeniami morza. Każda z tych wysepek była już zamieszkała. Piękne rosłe plemię witało przybyszów, wychodząc na brzeg wraz z psami, prosiętami i kurami. Skąd przywędrowali ci ludzie? Mówili językiem niezrozumiałym dla Europejczyków. A ludzie naszej rasy, zwąwszy się dumnie odkrywcami wysp, zastali na każdej zamieszkaney wyspie uprawne pola i wioski z chatami i świątyniami. Na niektórych z nich znaleziono nawet stare piramidy, brukowane drogi i

bione posągi kamienne lub drewniane, przedstawiające mitycznego Pierwszego Człowieka. Wiążą się z przedchrześcijańskim kultem przodków. Umieszczane są często przy wejściu do miejsc spotkań o charakterze sakralnym zwanych marae.

górami i lasami i bez przeszkód pędził od wyspy do wyspy w kierunku zachodu słońca.

W ten sposób od zarania dziejów napływały od wschodniego horyzontu fale i obłoki. Pierwsi ludzie, którzy dotarli do tych wysp, dobrze wiedzieli, że tak właśnie było. Ptaki i owady wiedziały o tym również, a roślinność wysp była całkowicie zależna od tych warunków. My zaś wiedzieliśmy, że hen, daleko za horyzontem, na wschodzie, skąd płynęły obłoki, leżało otwarte wybrzeże Ameryki Południowej. Osiem tysięcy kilometrów dzieliło nas od lądu i nic prócz morza nie było między wybrzeżem a nami.

Patrzyliśmy na pędzące obłoki, rozkołysane morze zalane światłem księżyca i słuchaliśmy półnagiego starca, który przykucnął przed nami, wpatrując się w zamierający żar małego ogniska.

– Tiki – mówił cicho starzec – był i bogiem, i wodzem. To Tiki przywiódł moich przodków na te wyspy, na których dzisiaj żyjemy. Przedtem mieszkaliśmy w wielkim kraju daleko za morzem.

Poruszył kijem węgle, aby nie zgasły. Siedział zamyślony. Żył przeszłością i był z nią mocno związany. Ubóstwiał swoich przodków i ich czyny z odległych czasów, kiedy żyli bogowie. Oczekiwał też chwili, gdy się z nimi znowu połączy. Stary Tei Tetua* był ostatnim potomkiem wymarłych szczepów na wschodnim wybrzeżu Fatuhivy. Sam nie wiedział, jak długo już żyje, ale jego pomarszczona skóra, brązowa niby kora, wyglądała, jakby ją suszono na słońcu i wietrze przez sto lat. Był z pewnością jednym z niewielu wyspiarzy pamiętających i wierzących w legendy swoich ojców i dziadów o wielkim polinezyjskim wodzu-bogu Tiki, synu słońca. Kiedy wsunęliśmy się tej nocy do łóżka w domku na palach, opowieści starego Tei Tetua o Tiki i zamorskiej praojczyźnie wyspiarzy nie dawały mi spokoju. Myśлом tym towarzyszył stłumiony huk przyboju, brzmiący jak głos z zamierzchłej przeszłości, który w nocy chce się z czegoś zwierzyć. Sen nie przychodził. Czas jakby przestał istnieć i Tiki wraz ze swoimi żeglarzami znów po raz pierwszy lądował na brzegu wyspy wśród kipieli wodnej. Nagle uderzyła mnie pewna myśl:

– Słuchaj – rzekłem do żony. – Czy zauważyłaś, że olbrzymie, kamienne posągi Tiki** tam w dżungli są zadziwiająco podobne do wielkich figur, które pozostały po starych kulturach Ameryki Południowej?

* Jak podaje Heyerdahl w „Fatu Hiva – Powrót do natury”, Tei Tetua był kanibalem.

** Tiki – (w języku tahitańskim ti'i, w języku hawajskim ki'i) w kulturach Polinezji rzeź-

datych piratów, jak teraz. Zajmowaliśmy się kolekcjonowaniem wszelkiego rodzaju stworzeń, pogańskich bożków i innych szczątków prastarej kultury. Szczególnie dobrze pamiętam pewien wieczór. Cywilizowany świat wydawał się nam wtedy bardzo odległy i nierealny. Żyliśmy na tej wyspie blisko rok jako jedyni biali ludzie i wyrzekliśmy się z własnej woli wszystkich dobrodziejstw cywilizacji. Mieszkaliśmy w domku na palach, który zbudowaliśmy sobie na brzegu pod palmami, i jedliśmy to, co nam mogły ofiarować wody Pacyfiku i tropikalny las.

W twardej praktycznej szkole wniknęliśmy w wiele ciekawych spraw Oceanu Spokojnego. „Wydaje mi się, że zarówno fizycznie, jak i duchowo szliśmy w ślady pierwotnych ludzi, którzy przybyli na te wyspy z nieznanego kraju i których polinezyjscy potomkowie rządzą bez przeszkód wyspiarskim królestwem, zanim nie przyszli ludzie naszej rasy z Biblią w jednej ręce, a prochem i wódką w drugiej.

Tego wieczoru siedzieliśmy jak zwykle w księżycowym świetle na plaży, zwróceniem twarzą ku morzu. Baczni na wszystko, czujni i pełni otaczającej nas przyrody łowiliśmy chciwie wrażenia. Nasze nozdrza wypełniał zapach bujnej dżungli i słonego morza, słyszeliśmy szum wiatru w listowiu i koronach palm. W regularnych odstępach czasu wielkie bałwany toczyły się prosto z morza, pieniały u brzegu i darły na strzępy wśród obłych głazów wybrzeża głośząc wszystkie dźwięki. Miliony błyszczących kamyków toczyły się z chrzęstem i chrobotem, gdy woda morska cofała się z brzegu, zbierając siły do nowego ataku na niezwyciężony ląd.

– To dziwne – powiedziała żona – ale nigdy nie widziałam podobnego przyboju po drugiej stronie wyspy.

– Tak – odparłem – bo to jest nawietrzna, fale zawsze nadbiegają z tej strony.

Siedzieliśmy i podziwialiśmy morze, które bijąc o brzeg nieustannie i uporczywie oznajmiało nam, że toczy swe fale ze wschodu, ze wschodu, ze wschodu. Był to odwieczny wschodni wiatr pasat* marszczący powierzchnię morza, falujący ją i pędzący naprzód na zachód, poprzez horyzont, aż do tych wysp. Tutaj nieprzerwany pochód morza rozbijał się w końcu o skały i rafy, podczas gdy wschodni wiatr wznosił się ponad wybrzeżem, ponad

* Wiatry o niezmiennym kierunku, wiejące prawie stale w strefie podzwrotnikowej. Na półkuli północnej wieją z północnego wschodu, a na półkuli południowej – z południowego wschodu. Oddziela je pas ciszy równikowej.

chód. Erik wpłynął przez otwór do szałasów z sekstansami i plikiem papierów w ręku:

– Dziewięćdziesiąt osiem stopni, czterdzieści sześć minut długości zachodniej i osiem stopni, dwie minuty szerokości południowej. Kawał drogi zrobiliśmy ostatniej doby, chłopcy!

Wziął swój ołówek i narysował kółeczko na mapie morskiej, wiszącej na bambusowej ścianie; kończyło ono łańcuch dziewiętnastu kółeczek, biegnący wygiętą linią przez ocean z portu Callao na peruwiańskim wybrzeżu. Herman, Knut i Torstein także podeszli żwawo, żeby spojrzeć na ostatnie kółeczko oznaczające naszą pozycję na mapie o dobrych czterdzieści mil morskich bliżej wysp Oceanii niż poprzednie.

– Spójrzcie, chłopcy – powiedział z dumą Herman. – To znaczy, że jesteśmy już 1570 kilometrów od wybrzeża Peru.

– I mamy tylko 6430 kilometrów do najbliższej wyspy – dodał ostrożnie Knut.

– A żeby być zupełnie ścisłym – rzekł Torstein – jesteśmy 5000 metrów ponad dnem morskim i parę ładnych wiorst poniżej księżycyca.

Wiedzieliśmy więc dokładnie, gdzie jesteśmy, i wobec tego znów mogłem oddać się rozmyśleniom, skąd jesteśmy tu wzięli. Papuga była równie wesoła jak przedtem, tylko że chciała dziobać dziennik okrętowy. A ocean był wciąż tak samo kolisty, obrzeżony niebem i nasycony błękitem.

Może zaczęło się to wszystko poprzedniej zimy, w biurze nowojorskiego muzeum, a może dziesięć lat wcześniej, na małej wysepce Archipelagu Markizów, pośrodku Oceanu Spokojnego. Moglibyśmy i teraz wylądować na tej samej wysepce, gdyby nas północnowschodni wiatr nie zniósł dalej na południe, w kierunku wysp Tahiti i Tuamotu. Przed oczyma mej wyobraźni zjawiały się poszarpane brzegi, rdzawe góry, zielona dżungla spływająca do morza i smukłe palmy, które powiewają wzdłuż wybrzeża. Wyspa nazywała się Fatuhiva i mimo że dzieliły nas od niej tysiące mil morskich, nie było lądu między nią a nami. Ujrzałem przed sobą wąską dolinę Ouia, otwierającą się ku morzu, i przypomniałem sobie dokładnie, jak co wieczór siedzieliśmy tam samotnie na plaży i patrzyliśmy na to samo bezbrzeżne morze. Znajdowałem się wówczas w podróży poślubnej* i nie było wokół mnie bro-

* Dzięki finansowemu wsparciu ojca, właściciela browaru, Heyerdahl udał się w trwającą półtora roku podróż poślubną na polinezyjską wyspę Fatu Hiva w 1936 r. Jej przebieg opisał w książce „Fatu Hiva – Powrót do natury” wydanej w 1938 roku w Norwegii.

Bywa czasem, że człowiek, znalazłszy się w zupełnie niecodziennej sytuacji, tak do niej przywyka, iż zaczyna ją uważać za zupełnie normalną. Dopiero gdy już daleko zabrnę, ogarnia go naraz zdziwienie i pyta samego siebie, jakim cudem to wszystko się stało.

Jeżeli damy na to, wraz z papugą i pięcioma towarzyszami wyruszymy tratwą na dalekomorską wyprawę, to wcześniej czy później, zbudziwszy się rankiem na morzu, zaczniesz rozmyślać nad sytuacją.

Pewnego takiego poranka siedziałem, wpisując do wilgotnego od rosy dziennika okrętowego:

„17 maja. Norweskie Święto Narodowe*. Wzburzone morze. Pomyślny wiatr. Jestem dzisiaj kucharzem i znalazłem na pokładzie siedem latających ryb, na dachu szałas ośmiornicę oraz jedną nieznaną mi z nazwy rybę w śpiworze Torsteina...”

Tutaj mój ołówek zatrzymał się i oto, co przyszło mi do głowy:

„Rzeczywiście niezwykle dzień siedemnasty maja. W gruncie rzeczy żyjemy teraz jakoś bardzo niezwykle – tylko niebo i morze. Jak się to wszystko zaczęło?”

Gdy zwróciłem się w lewo, miałem przed sobą niczym niezmacony widok na bezmiar błękitnego oceanu z szumiącymi falami, które toczyły się tuż przede mną w wiecznej pogoni za uciekającym nieustannie horyzontem. Kiedy zaś spojrzałem w prawo, widziałem wewnątrz cieniściego szałas, w którym brodaty osobnik leżał na wznak i czytał Goethego, wczepiwszy palce nóg w szczeliny niskiego bambusowego daszka tej śmiechu wartej chatynki, która była naszym wspólnym domem.

– Bengt – rzekłem, odsuwając zieloną papugę, która chciała usadzić się na dzienniku okrętowym. – Czy możesz mi powiedzieć, jakie licho nas tu przyniosło?

Goethe zniknął pod złotorudą brodą.

– Do diabła, tyś to powinien najlepiej wiedzieć, to przecież twój zwariowany pomysł. Mnie on się zresztą ogromnie podoba.

Na zewnątrz chaty trzech mężczyzn pracowało, smażąc się w słońcu na bambusowym pokładzie. Byli półnaczy, opaleni na brązowo, brodaci, ze smugami soli morskiej na grzbietach. Wyglądali, jakby przez całe życie nie robili nic innego, tylko spławiali tratwy po Pacyfiku, ze wschodu na za-

* Norwegowie świętują wówczas rocznicę przyjęcia konstytucji w 1814 roku.